

Amy Lea



Może
to?
PRZEZNACZENIE

Przełożyła
Natalia Laprus

Young

Amy Lea

Może
to?
PRZEZNACZENIE

PRZEŁOŻYŁA

Natalia Laprus

Young

TYTUŁ ORYGINAŁU:

Something Like Fate

Redaktorka prowadząca: Marta Budnik

Wydawczyni: Olga Gorczyca-Popławska

Redakcja: Adrian Kyć / Rytm pisania

Korekta: Kinga Dąbrowicz

Grafika na stronach rozdziałowych: © ananaseisha, © Dina, © Carlos / Stock.Adobe.com

Projekt okładki, ilustracji na okładce i wyklejki: Agata Łuksza

DTP: Maciej Grycz

Text copyright © 2025 by Amy Lea

All rights reserved.

This edition is made possible under a license arrangement originating with Amazon Publishing, www.apub.com, in collaboration with GRAAL, SP. Z O.O.

Copyright © 2025 for the Polish edition by Young an imprint of Wydawnictwo Kobiectwo Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Natalia Laprus, 2025

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne

Białystok 2025

ISBN 978-83-8417-131-8

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | www.WydawnictwoKobiectwo.pl



Rozdział 1



Jestem o włos od przespania się z Markiem B., kiedy mnie to nachodzi – szybko i mocno.

Jest wyrazistsze niż niedawne wspomnienie. Świeże i ostre jak film na telewizorze ultra HD, dumie taty. Widzę nieznaną mi panoramę miejską złożoną z wyglądających na śliskie szklanych drapaczy chmur sięgających niebieskiego nieba. Mój nos ogarnia zapach mocnego espresso, który zaraz chyba przeczyści mi zatoki. Gorący żar kłuje mnie w szyję, jakbym paliła się na pełnym słońcu w południe, a nie siedziała w zaciemnionej piwnicy na imprezie po egzaminach bractwa Pi Kappa Alpha. Ostatnia wielka impreza przed latem. Skupisko czerwonych kreskówkowych serc unosi się na linii horyzontu niczym balony na ogrzane powietrze, robią się coraz większe i większe, aż...

– Lo? – Piwny oddech Marka B. przywraca mnie do rzeczywistości, a jego lśniące, zwilżone usta pojawiają mi się przed



twarzą. Zwisają niebezpiecznie blisko moich, a mój kręgosłup przeszywa strach.

– Sorki, wydawało mi się, że widziałam...

– Wszystko okej? Zrobiłaś wielkie oczy. Wyglądałaś, jakbyś przechodziła reakcję alergiczną czy coś – rzuca z charakterystyczną dla siebie bezpośredniością.

– Jakie to z mojej strony atrakcyjne. – Katatoniczny stan i rumieniec niczym we wstrząsie anafilaktycznym to sprawdzony przepis na uwodzenie, co nie?

Spodziewam się, że zignoruje moje umniejszanie sobie, tak jak to ma w zwyczaju. Może rozbawi mnie jakimś małym kłamstwem, że jestem dość „urocza” albo „ujmująca”. Ale nie mówi nic a nic. Zero. I choć ten moment pewnie będzie prześladował moją duszę przez wieki, są bardziej palące sprawy. Na przykład: co ja, do cholery, właśnie widziałam?

Mark B. wyczuwa zmianę mojego nastroju, ostre kąty jego zaskoczonyj twarzy lśnią na pomarańczowo od lampy lavy na stoliku obok. Rozważam wyjaśnienie mu tego, ale żadne słowa nie nadciągają. No bo jak to zrobić, nie wychodząc na nawiedzoną wariatkę? Zresztą czym w ogóle jest „to”? Figłem wyobraźni sprowokowanej alkoholem? Niemożliwe. Wypiłam tylko dwa czerwone kubeczki piwa.

Może to halucynacja wywołana wciśnięciem się w dwa rozmiary za małą pomarańczową sukienkę z zamszu? Możliwe.

Niesamowicie wyrazisty sen na jawie? Minimalnie bardziej prawdopodobne. Tylko że nigdy nie miałam snów tak chamsko wchodzących mi w paradę jak niechciany partner na zajęciach laboratoryjnych z chemii.

Przypominam sobie coś, co mawiała moja babcia: że wizje pojawiają się w najmniej odpowiednich momentach, jak podczas



testu w szkole w jej przypadku albo na toalecie – jak u mojej ciotki Mei. Czy to naprawdę mogła być wizja? Zdeptuję tę nadzieję i tak na wszelki wypadek przykrywam ją garstką ziemi. Nie będę się zapuszczać w głąb tego tunelu. Nie odziedzyczyłam zdolności rodziny Zhao. Już się pogodziłam z byciem beztalenciem i wyrzutkiem w rodzinie, a także z tym, że jestem ciut poniżej przeciętnej w... cóż, wszystkim.

Mark B. odchrząkuje i wskazuje na przestrzeń między nami.

– Chcesz się bzykać czy nie? Bo wydaje mi się, że ostatnio ciągle masz jakiś problem – stwierdza, rysując w powietrzu cudzysłów przy słowie „problem”, jakby było to z mojej strony celowe działanie.

Serio, chciałabym, żeby tak było. Podczas naszych ostatnich schadzek miałam kilka... komplikacji, mówiąc delikatnie. Raz zasnęłam po dziesięciu minutach od włączenia filmu i chrapałam jak siedemdziesięciolatek z bezdechem sennym. Mark B. nagrał mnie, żeby mi to udowodnić. Następnym razem próbowałam mu to wynagrodzić, rzucając się na niego zachłannie, bez ostrzeżenia i naciągnęłam sobie mięsień w udzie, przez co się przewróciłam. A teraz to.

– Chcesz się bzykać? – powtarza niecierpliwie na tle basu i krzyków z góry. Turniej beer ponga trwa w najlepsze.

Przygryzam wargę.

– Yyy...

Chcę? To pytanie za milion dolarów. Technicznie rzecz biorąc: tak. Nie bez powodu założyłam komplet bielizny. Nie bzykalibyśmy się też pierwszy raz i nie chodzi o to, że nie lubię seksu bez zobowiązań. Lubię go w chwili, kiedy do niego dochodzi. Ale po wszystkim, gdy on przewraca się na bok ze stęknieniem, wbrew sobie odczuwam falę zawodu. Tak to ma wyglądać?



Pusto? Rozczarowująco? Czy byłoby inaczej z kimś, kogo bardzo, bardzo lubię?

Nie żebym nie lubiła Marka B.

Od razu mi się spodobał, kiedy poznaliśmy się – tak, zgadliście – na imprezie bractwa. Było to przed przerwą zimową, miała motyw przewodni ABC („Ale bez ciuchów”). Stałam w kuchni i próbowałam rozciąć moją sukienkę z taśmy izolacyjnej praworęcznymi nożyczkami, żeby móc usiąść lub sikać bez problemu. Podszedł w todzie zrobionej z pościeli w jamniki i zaproponował, że pomoże mi się wyswobodzić „w nieseksualny sposób”.

Miał bardzo pewny siebie chód, otaczała go aura pyszałkowatości, zawsze rządził, co z perspektywy czasu było częścią jego uroku (no i jeszcze ta pościel w jamniki!). Zdziwiłam się, że w ogóle zwrócił na mnie uwagę z tym swoim wyglądem podrabianego brata Hemswortha.

Po tym, jak przyniósł mi koszulkę z góry, połączyła nas trauma bycia leworęczną osobą w praworęcznym świecie, nasza miłość do szotów galaretkowych i oglądanie filmików z zaginionymi psami, które wracają do swoich właścicieli. Wszystko to rzeczy istotne.

Jak na chłopaka z bractwa, okazał się ponadprzeciętnym człowiekiem, który naprawdę chce mieć pewność, że jest mi dobrze. Zawsze płaci za moje Ubery do domu i reaguje z entuzjazmem na filmiki z małymi zwierzątkami, które mu wysyłam. Ale absolutnie nie ma między nami tego przedłużonego kontaktu wzrokowego, tej iskry elektryczności, kiedy się dotykamy, ani nawet komfortu wynikającego z tyłu godzin spędzonych wspólnie przez ostatnie kilka miesięcy.

Zawsze się zastanawiałam, jak by to było z kimś, kto delikatnie muska opuszkami moją szczękę, wpatruje mi się z czułością w oczy i mówi, że „opętałam jego ciało i duszę”. Kto



obdarowuje mnie intensywnymi pocałunkami, które wykręcają mi palce u stóp, zmieniają chemię mojego ciała na zawsze. Jak widać, dużo o tym myślałam. W zasadzie to setki godzin. Ale czego można się spodziewać, kiedy cała twoja rodzina zakochuje się bez pamięci w swoich bratnich duszach?

A to nic z tych rzeczy. Dlatego nie jestem pewna, czemu tak bardzo zafiksowałam się na bzykaniu z Markiem B. ten ostatni raz. Może staram się zadowolić czymkolwiek albo jestem zdesperowana. Pewnie jedno i drugie. Ale mam poczucie, że to dobry sposób, by przypieczętować koniec semestru przed daleką podróżą na cały miesiąc. Muszę uratować sytuację.

– Chcę! – praktycznie skomlę, pociągając go za zmechaoną bluzę z kapturem z herbem uniwersytetu.

Unosi brew, rozbawiony moim nagłym entuzjazmem i pojętym spojrzeniem zapraszającym do łóżka, które rzucam mu spod samodzielnie ściętej (okej, wyszarpanej) grzywki w stylu lat siedemdziesiątych. Naprawdę się staram.

Jego usta są kompletnie mokre, kiedy stapiają się z moim niczym przemoczona poduszka. Wszystkie usprawiedliwienia wylatują mi z głowy, gdy bez uprzedzenia wpycha swój język do moich ust. Jest ciężki, jak wielki ślimak.

Mój umysł wie, że desperacko potrzebuję mentalnej ucieczki, bo znowu doświadczam tego samego co wcześniej. Panorama miasta, zapach espresso i serca.

Gwałtownie się odsuwam i potrząsam głową, próbując pozbyć się tej wizji (i wilgoci) jak mokry pies.

– Yyy, zaraz wracam. Muszę iść do łazienki – mamrocę, rzucając się do najbliższego wyjścia.

Obraz w mojej głowie zanika, kiedy zamykam za sobą drzwi, ale tylko częściowo. Dręczy mnie jak śwędzące miejsce, które



domaga się podrapania. Powinnam pogadać z moimi ciotkami. I to jak najszybciej. Ale najpierw muszę się stąd wydostać.

Mrugam, w ciemności próbuję wymacać włącznik światła. Rozlega się delikatne pukanie do drzwi.

– Lo? – zagaja Mark B.

Powinnam powiedzieć mu prawdę – że mam jakąś dziwną, natrętną wizję, która nie chce dać mi spokoju. I że pomimo niej sprawy między nami nie wydają się do końca na miejscu i nigdy takie nie były. Ale jako że nie jestem w stanie celowo zranić uczuć drugiej osoby (czyli jestem kompletnym tchórzem), jedyne, co z siebie wyduszam, to radosne:

– Zaraz wychodzę! Już kończę.

– Kończysz co? – Brzmi na zaniepokojonego. – To nie łazienka.

Gdy tylko moje oczy przyzwyczajają się do ciemności, ten niefortunny fakt staje się jasny. Zamknęłam się w schowku wypełnionym zakurczonymi pudłami, zepsutymi meblami, rowkami, które znały lepsze czasy, i prawdopodobnie duchem lub dwoma chłopaków z bractwa.

Kolejne pukanie, tym razem bardziej nagłące.

– Lo? Proszę, powiedz mi, że nie poszłaś tam do toalety.

Zakrywam ręką usta, nie odzywam się. Zabierzcie. Mnie. Stąd.

I wtedy je zauważam. Okno. Chwała. Jasne, pewnie ledwo da się przez nie przecisnąć małe dziecko, ale darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby.

Przedzierając się przez lepkie pajęczyny, przeszukuję wszystkie zagracone kąty w desperackim poszukiwaniu drabiny, stołka, jakiegokolwiek na tyle wysokiego przedmiotu, by sięgnąć okna. Moje starania kończą się znalezieniem chybottliwego stoliczka i oklejonego kurzem pudła po wolnowarze z lat



dziewięćdziesiątych. Stolik nie jest stabilny, ale dodaje mi tyle wzrostu, że dosięgam okna. Z grzywką przyklejoną do czoła przeciskam się przez ciasną przestrzeń i wychodzę zwycięsko na trawnik po drugiej stronie. Mówiąc „zwycięsko”, mam na myśli widoczek z cyklu: „Uciekam przed obłąkanym seryjnym mordercą z piłą łańcuchową”.

Zdaje się, że nikt nie zwraca na mnie uwagi, co jest jednocześnie ulgą i powodem do poważnego niepokoju.

Trawnik to istne zoo. Przemykam przez grupkę dziewcząt z bractwa ściskających mieniące się butelki truskawkowego wina niczym niemowlaki. Ledwie unikam kolizji z nawalonym gościem w kowbojskiej kurtce ze spienionym piwem w obu rękach.

– Wybacz! – wołam za siebie, zakręcając na przód domu.

Moja najlepsza przyjaciółka, Bianca Alves, przywołuje mnie do siebie. Opiera się właśnie o ceglana ścianę, rozmawiając z muskularnym facetem z czapką z daszkiem założoną do tyłu, który absolutnie nie jest w jej guście.

Wali do mnie prosto z mostu:

– Spaliście ze sobą? – pyta z uniesionymi w oczekiwaniu grubymi, ciemnymi brwiami. Dzisiaj zdecydowała się na miniówkę w romby, krótszą od mojej, i biały T-shirt do pępka, który ukazuje jej opalony sześciopak godny tancerki.

– Nie – wyduszam. „Dlaczego uciekłam w ten sposób od Marka B.?” Ze wstydem unikam z nią kontaktu wzrokowego, kiedy pospiesznie zagania mnie do środka i na górę. Czuję się jak zhańbiona gwiazda pop, którą ciągnie się na odwyk przez tłum paparazzi.

Wchodzimy do pokoju przypadkowego chłopaka z bractwa, zawalonego bongo, zgniecionymi papierami, brudnymi ubraniami i przewróconymi puszkami po piwie.



– Zrobiliście coś? Cokolwiek? – pyta Bianca, a jej głos ocieka rozczarowaniem. Stoi przed zabrudzonym lustrem garderoby i od nowa zawiązuje włosy w kucyk inspirowany Arianą Grande – wystylizowany identycznie jak w dniu, w którym poznałyśmy się na literaturze angielskiej.

Na prośbę asystenta profesora musieliśmy podzielić się z resztą grupy naszą ulubioną książką. Wszyscy zagorzali studenci filologii wymieniali coś depresyjnego albo klasykę w stylu Jane Austen. Jako studentka naukowa, która wybrała ten przedmiot na fakultet, z paniki wykrzyczałam: *Wielki Gatsby*, mimo że widziałam tylko film z Leonardo DiCaprio. Gdy nadeszła kolej Bianki, powiedziała, że jej ulubioną książką jest *Zmierzch*, i uczyniła to z niezachwianą pewnością białego mężczyzny w średnim wieku. Od tamtej chwili jest moją bohaterką. I to tak wielką, że przy mnóstwie okazji próbowałam zgapić od niej kucyka, tylko że ja przypominam z nim łysiejącego ojca założyciela Stanów Zjednoczonych. Stąd pomysł na grzywkę.

– To znaczy... wcisnął mi język do ust na jakieś dwie sekundy, zanim zwiąłem przez okno – przyznaję, omijając kluczowe szczegóły mojej dziwnej wizji. Naprawdę muszę się stąd wydostać i pogadać z ciotkami.

– Zwiąłeś przez okno – powtarza, zupełnie niewzruszona.

Robię krok w bok, by wyminąć kałużę tajemniczego płynu, i opisuję, jak to obwieściłam, że idę do toalety, a zamiast tego wylądowałam w schowku.

– Nie gadaj. Pewnie myśli, że po pijaku zrobiłaś tam dwójkę i urwał ci się film – oznajmia Bianca z agresywnym prychnięciem.

Myśl o Marku B. i jego kumplach z bractwa przeszukujących schowek w poszukiwaniu ludzkich odchodów sprawia, że zwiąam się ze śmiechu i chwytam komody dla wsparcia. Śmiejemy



się do łez, aż bolą nas brzuchy. Kiedy już trochę się uspokajamy, Bianca pyta:

– Ale serio, czemu tak nagle masz coś przeciwko przespaniu się z nim? Jeszcze kilka miesięcy temu byłaś w to wkręcona.

Wzdrygam się z zażenowania, rzucając się na łóżko i ubolewając nad straconą okazją.

– Naprawdę zadaję sobie to pytanie codziennie. Jest... miły. Po prostu nie czuję od niego energii bratniej duszy. – Ponieważ Bianca mierzy mnie spojrzeniem mówiącym: „Tylko nie to”, dodaję: – I przez niego czułam się głupia, że nie wiedziałam, co oznacza słowo „dezynwoltura”.

Bianca robi grymas.

– A co oznacza?

– No właśnie. Nikt tego nie wie z wyjątkiem osób, którzy chcą się wydawać mądrzejsi, niż są w rzeczywistości. Wyjaśnił mi, ale zamysliłam się i nie byłam wtedy obecna ciałem.

– Ech, co za dupek. Wiesz, słyszałam, że oblał w zeszłym semestrze przygotowanie do prawa. Założę się, że chce podbudować sobie ego – stwierdza.

– To wyjaśniłoby jego minę, kiedy powiedziałam mu, że chcę rzucić studia i pracować przy wyprowadzaniu psów – mówię. Teoretycznie to był żart. Jeden z tych na próbę, w których tkwi ziarenko prawdy.

Spojrzał wtedy na mnie, jakbym mu oznajmiła, że zamierzam żyć w lesie, zakrywać części intymne listkiem i korzystać z owoców i gałęzi w ramach waluty.

– Dlaczego miałabyś rzucić studia dla pracy za minimalną krajową? – Powiedział „minimalna krajowa”, jakby to było brzydkie słowo, co wpisywało się w jego charakter, bo wywodzi się z rodziny wysoce odznaczonych prawników. Jego dziadek



był sędzią, którego nazwisko brano pod uwagę w Sądzie Najwyższym.

– Nie wiem, czy podoba mi się mój plan studiów – wyznałam mu szczerze, aż kamień spadł mi z serca. Męczyłam się z moją niechęcią względem tych studiów przez cały rok, byłam zbyt przerażona, by komuś o tym powiedzieć, zwłaszcza tacie, który cieszył się, że idę w ślady jego i mamy w karierze technika kryminalistyki.

– Może zmienisz kierunek? – zasugerował. To było sensowne pytanie. Ale już zapisałam się na wiele fakultetów i żaden z nich nie był porywający.

W przeciwieństwie do Bianki, która chciała studiować sztukę od trzynastego roku życia, ja zawsze byłam przeciętnie zainteresowana wszystkim po trochu i nie żywiłam pasji do niczego. W sumie nie jestem do końca pewna, czy studiowanie jest dla mnie, dlatego właśnie rozważałam dziekanę albo całkowitą rezygnację.

Bianca wzdycha, rozciągając się przy komodzie.

– Okej, może i jest z niego trochę elitarystyczny złamas. Może nie jest twoją bratnią duszą. Ale ma ośmiopak – zaznacza, puszczając mi sugestywnie oko.

Unikam jej sokolego wzroku i zaczynam zdzierać z paznokci grubo nałożony różowy lakier.

– A czy to nie w złym guście wykorzystywać Marka B. dla jego ciała? – pytam.

Bianca uderza mnie w dłoń, żebyśmy przestała zdrapywać lakier. To mój zły nawyk.

– Mężczyźni wykorzystują kobiety dla ich ciał non stop.

Na moim telefonie pojawia się nowa wiadomość, zupełnie jakby wszechświat był po stronie Bianki.



Mark: Gdzie zniknęłaś?

Otwieram następną wiadomość i atakuje mnie dickpikiem. Znużona opadam na materac. Dlaczego faceci są tacy obrzydliwi i przewidywalni?

– To bardzo... niekorzystne zdjęcie. – Bianca zaciska zęby i przekrzywia głowę, by przyjrzeć mu się z każdej strony.

– Czy genitalia same w sobie są w ogóle atrakcyjne?

– Widziałam parę imponujących penisów, ale ten do nich nie należy.

– Widzisz? Romantyczność oficjalnie umarła – wyduszam drżącym głosem, przywołując w myślach jego błędzące ręce, które sprawiały raczej wrażenie macek ośmiornicy.

– Wciąż chce się bzykać po tym, jak uciekłaś. Powiedziała-bym, że romantyczność ma się dobrze – zauważa Bianca.

– Jest podłączona do respiratora. Przynajmniej dla mnie.

Bianca marszczy brwi, jakbym była beznadziejnym przypadkiem.

– I mówi to dziewczyna, która ryczy na moim ramieniu podczas *Pamiętnika*, kiedy Noah oznajmia w deszczu, że to jeszcze nie koniec. Dziewczyna, która rozkleja się, kiedy celebryci zrywają, bo tak mocno angażuje się emocjonalnie. – Waha się, zerka za siebie, by upewnić się, że nikogo nie ma w zasięgu słuchu, po czym szepcze: – Myślę, że dar twojej rodziny i te wszystkie historyjki miłosne zafundowały ci nierealistyczne oczekiwania.

Doceniam, że kryje mój sekret, odkąd zaprosiłam ją na Chiński Nowy Rok do ciotek. Zazwyczaj nie mówię ludziom o umiejętnościach mojej rodziny; zwykle dziwnie na to reagują. Niektórzy się boją, inni automatycznie uznają, że jesteśmy walnięci, a jeszcze inni są rozczarowani, że nie potrafimy przewidzieć ich przyszłości na żądanie. Niektórzy chcą, byśmy



pomogli im nawiązać kontakt z bliskimi zmarłymi, mimo że nie jesteśmy medium (jest różnica). Więc o niczym nie wspomniałam. Co zabawne, Bianca rozpoznała ciocię Mei z koncertu jasnowidzów, na którym była kilka miesięcy wcześniej. Fascynują ją jasnowidze i medium, odkąd zmarła jej babcia. Ma nawet swoją osobistą talię kart tarota i uczy się z nich czytać z YouTube'a.

– To pewnie prawda. – Nie myli się. W samochodzie można mnie rozpoznać po tym, że słucham swojej romantycznej playlisty i wyglądam tęsknie przez szybę nakrapianą deszczem, udając, że występuję w teledysku.

– Po prostu jeśli facet natychmiast nie przywoła motyli do twojego brzucha, to dla ciebie już koniec – ciągnie.

– Ale po co mam marnować czas, jeśli to nie moja bratnia dusza? – ripostuję. Naiwnie liczyłam, że college będzie mekką emocjonalnie dojrzałych mężczyzn z wyrzeźbionymi ciałami, poszukujących długofalowych związków, może z zaręczynami na horyzoncie. Nawet moi rodzice zeszli się młodo. Poznali się w pracy, świeżo po studiach, gdzie połączyła ich współdzielona przez nich teoria o krwawych śladach w śledztwie dotyczącym zabójstwa. Romantyczność w czystej postaci, prawda? Na pierwszej randce obejrzeli dla żartu odcinek CSI i śmiali się, jak bardzo jest niepoprawny. Oczywiście wiem to z opowieści ciotki. Mama zmarła przez pęknięcie tętniaka w mózgu, gdy miałam cztery lata.

Zamiast tego znalazłam tysiąc Marków B., których definicją romantyczności jest wspólne palenie bonga – i najwyraźniej wysyłanie dickpiców.

– Mówię tylko, że to nie zawsze musi być chwila zmieniająca bieg wszechświata. Czasem seks jest tylko bezsensownym seksem. I to w porządku – wyjaśnia Bianca.



– Masz rację. Ale i tak nie mogę już sypiać z Markiem B. – Strzelam palcami, zestresowana perspektywą powiedzenia mu o tym. Nie żeby go to obeszło.

– Prawda – komentuje Bianca, a jej ciemne oczy lśnią. – O mój Boże. Może poznasz kogoś we Włoszech?

Przekrzywiam głowę w zamyśleniu.

– Włochy byłyby romantyczne.

Czuję, jak buzuje we mnie ekscytacja. Nie tylko na myśl o włoskim romansie, ale też o spędzeniu całego miesiąca w innym kraju z Biancą. Ta wycieczka nie mogła wypaść w lepszym czasie. Może da mi nową perspektywę albo inspirację do wzięcia życia za rogi. Może wrócę ze świeżym spojrzeniem i na nowo rozpaloną miłością do moich studiów.

Planowałyśmy tę wyprawę, odkąd Bianca zobaczyła tapetę na moim iPadzie – zdjęcie mojej mamy i cioci Mei na siostrzanym wyjeździe do Włoch latem, kiedy mama ukończyła liceum trzydzieści lat temu.

Mama i Mei wyglądają na tej fotce na tak pełne życia. Trzymają się pod ramię na brukowanej uliczce we Florencji, w dłoniach mają gelato. Nikt by nie zgadł, że noc wcześniej walczyły z paskudnym zatruciem. Ani że zatrzymywały się w budżetowych, pełnych robactwa hostelach przez cały miesiąc. Ani że potrzebna im była miesięczna terapia akupunkturą, by wyleczyć plecy po ciężarce plecaków. A jednak mimo tego wszystkiego mama nie mogła się doczekać następnej wyprawy, gdy zbiera więcej pieniędzy, jak mówiła mi Mei.

Zawsze wiedziałam, że chcę iść śladami mamy (dosłownie) i odwiedzić Włochy. Ale to było poza moim zasięgiem. No i Włochy nie są tanie, zwłaszcza dla studentki. Bianca przekonała mnie jednak, że to wykonalne, o ile polubimy się z backpackerowym



trybem funkcjonowania: spaniem w hostelach, gotowaniem sobie posiłków, dołączaniem do darmowych grup wycieczkowych i korzystaniem z transportu publicznego. Poza tym Bianca w polowie jest Włoszką i zawsze chciała zgłębić swoje korzenie.

Mój telefon znowu się odzywa, a mnie przewraca się w żołądku.

– O Boże. To kolejny dickpic, prawda? Mam przeczucie, że to będzie gorsze.

Bianca poświęca się i zerka w telefon w moim imieniu.

– To... zdjęcie pudła bez nogi.

– Doris? – Biorę telefon. Jak podejrzewałam, zdjęcie nie jest od Marka B.

Jest od Tellera.

Zalewa mnie fala adrenaliny.

– Tak. Twój najlepszy przyjaciel ma wycucie czasu – mamrocze, przewracając oczami. Wiem, że drażni ją fakt, że musi dzielić ten tytuł z kimś jeszcze. Bez względu na to, jak ja i Bianca zbliżyliśmy się do siebie w tym roku, wie, że nie może konkurować z całym latami historii.

Przyglądam się zdjęciu Doris, trzynogiemu pudłowi, którego Teller adoptował z lokalnego schroniska za moją namową i który teraz ma na sobie gruby sweter w kratkę. Mimo mocnej awersji do psów (z uwagi na alergię) niechętnie wziął ją „na chwilę”, aż nie znajdzie jej lepszego domu. Ku ogólnemu zdziwieniu, w tym mojemu, jego rodzina zakochała się w psince i adoptowała ją na stałe.

Lo: *OMG DORIS*

Teller: *Ucałuję ją od ciebie.*



Wpatruję się w jej oczka, loczki godne starszej pani, i w końcu to do mnie dociera. Skoro Teller jest z Doris – jest w domu.

Lo: CHWILA CO?

Lo: WRÓCIŁEŚ DO DOMU NA LATO???

Teller: Cholera, tęskniłem za twoim darcim się na mnie przez wiadomości.

Lo: WRÓCIŁEŚ CZY NIE

Lo: ??

Teller: Tak, wróciłem do domu. Wczoraj przyjechałem. Co robisz?

Lo: jestem na imprezie bractwa. mam ochotę się zmyć. KIEDY MOGĘ ZOBACZYĆ DORIS??

Lo: i ciebie też. ALE GŁÓWNIE DORIS.

Bezsprzecznie nie znam umiaru. Nie widzieliśmy się, od kąd wyjechał zeszłego sierpnia, by studiować na Northwestern, całe cztery godziny drogi stąd. Mimo obietnic spotkania podczas świątecznej przerwy jakoś nam nie wyszło.

Teller: Przyjadę po ciebie, tylko powiedz gdzie.

Natychmiast wysyłam mu adres, a on odpisuje, że będzie za kwadrans.

– Teller po ciebie przyjeżdża? – pyta Bianca porozumiewawczo, podnosząc się z łóżka.

– Nom. I tak już jestem zmęczona – kłamię, zduszając szeroki uśmiech. Opuuszczamy względnie cichą sypialnię, a nagły hałas sprawia, że w drodze na dół zaczyna mi dzwonić w uszach. – Chcesz podwózkę? Teller nie będzie miał nic przeciwko.

Czuję się winna, że ją zostawiam, ale Bianca nie jest typem dziewczyny, która potrzebuje pomagiera. A Teller to jedyna



osoba – z wyjątkiem moich ciotek – z którą mogę porozmawiać o tym, co dzisiaj widziałam. Potrzebuję teraz jego spokoju i logiki. I bez urazy dla Bianki, ale czasem za bardzo wczuwa się w to całe jasnowidzenie. Chociaż uwielbiam to, jak bez zająknięcia akceptuje (kochaj!) ten aspekt mojego życia, to tak bardzo chciałaby, żeby ta wizja była prawdą, że tylko rozpałiłaby moje nadzieje.

– Chciałabym wreszcie poznać tego gościa, ale powiedziałam Chrisowi, że wrócę z nim! – przekrzykuje muzykę. Chris to jej zajawka tego miesiąca, facet, którego Bianca poznała na siłowni i który ma piercing w sutku. Pisze wiersze i utrzymuje przesadny kontakt wzrokowy, gdy je czyta, co jest bez wątpienia czerwoną flagą (to nie ja ustalam zasady). Bianca się z tym nie zgadza. Jego kreatywność i obchodzenie się ze słowami ją podniecają (brrr). Ale trzeba przyznać, że serio wydaje się miły, poza tym zaproponował mi resztę swoich frytek, kiedy w zeszłym tygodniu poszliśmy we trójkę do Five Guys.

Obiecujemy sobie z Biancą, że napiszemy do siebie, jak będziemy w domach, po czym wychodzę, by czekać na Tellera.

Otula mnie ciemność. Siedzę na schodku, kiedy mój przyjaciel zajeżdża w swojej starej Toyocie Corolli (w kolorze szampańskim) dokładnie piętnaście minut później. Teller zawsze jest punktualny. Zanim wstaję, wychodzi z auta. Dziwne. Nigdy nie ciągnęło go do tłumów.

Tym razem zobaczenie Tellera Owensa we własnej osobie, po prawie całym roku rozłąki, to dziwaczne uczucie.

Teller nie jest atrakcyjny w tradycyjnym znaczeniu tego słowa. Nie wyróżniałby się z tłumu, po spojrzeniu na niego nikt nie pomyślałby: „Wow, nadaje się do *Top Model*”. Jest po prostu Tellerem. Trochę nerdowaty, z lekko odstającymi uszami



i ustami, które wydają się ciut za duże w stosunku do jego twarzy. To tego rodzaju atrakcyjność, która uwidacznia się przy bliższym poznaniu. Ciągłe towarzyszy mu kontemplujący wyraz twarzy (uniesiona brew i lekko zaciśnięte usta) – nic się nie zmienił. Zawsze wygląda na zamyślonego, zatraconego w labiryncie własnych rozkmin.

Ale moje odkrycia są zaskakujące. Przede wszystkim: jego szczeka. Od kiedy jest taka zarysowana? No i jeszcze ten nieznośny kąt, pod którym muszę zadzierać głowę, żeby ogarnąć jego górujący wzrost. Zawsze był wysoki, ale tyczkowaty, z kończynami zbyt długimi, by były użyteczne. Ale teraz dorósł do swojego wzrostu. Jest... że sobie pozwolę... muskularny? Ale nie napakowany. Jest po prostu solidnie smukły, jego ruchy są wręcz pełne gracji.

Chłonę to, jak jego barki i bicepsy wypełniają zwykłą koszulkę. Jego szeroką klatkę piersiową. Mrugam, żeby upewnić się, że nie mam zwidów. Jakby wskoczył w zupełnie nowe ciało. Nie wiem, co o tym sądzić, kiedy idzie ścieżką, a z każdym jego krokiem kołyszą się te nieokiełznane ciemne włosy.

Przeszukuje karmelowymi oczami tłum w poszukiwaniu mnie. Kiedy nasze spojrzenia się spotykają, delikatny, szczerzy uśmiech pojawia mu się na twarzy, rozświetlając całą jego aurę. Uświadamiam sobie, jak bardzo tęskniłam za tym uśmiechem. I za jego właścicielem.

Zatrzymuje się kilka metrów przede mną, bada mnie wzrokiem i mówi:

– Twoje włosy.

Przyklepuję swoje odporne na czesanie włosy, które są teraz jednocześnie spuszone i przykrapnięte w różnych miejscach z powodu agresywnego cieniowania. To jeden z moich największych



problemów ze wszechświatem – że nie odziedziczyłam jedwabistych, prostych włosów po mamie. Co za niesprawiedliwość.

Kilka tygodni temu przechodziłam kryzys egzystencjonalny, wkuwając bezużyteczne wzory chemiczne na egzamin. Włosy opadały mi na oczy, ale zamiast pójść do najbliższego fryzjera w okolicy, jak postąpiłaby każda normalna osoba, ja zaserwowałam sobie studenckie strzyżenie i zrobiłam cieniowanego boba do ramion. Totalne przeciwieństwo równego ścięcia, które było moim znakiem rozpoznawczym od dziesiątego roku życia.

To był błąd, zwłaszcza grzywka. Nie wiedziałam, że krótsze włosy wymagają lepszej stylizacji. Jeśli ją oleję, wyglądam jak dziecko wychowane przez wilki. Zwykłam wiązać je w niedbały kok, nie licząc nocy (jak dzisiaj), kiedy to czuję się w obowiązku włożyć w nie trochę wysiłku.

Instynktownie pociągam za parę pasm pokręconej grzywki, czując się nagle niepewnie.

– Wiem, że nie znosisz zmian, ale odrosną...

– Prawda, nienawidzę zmian, ale to... – Odchyła się, przyglądając się mojej fryzurze pod innym kątem. – To dobra zmiana. Pasuje do ciebie. W zasadzie bardziej niż dawna fryzura.

– Bo jest jakimś cudem bardziej niesforna?

Podśmiechuje się pod nosem i strategicznie nie zgadza się ani nie zaprzecza.

– Chodź tutaj.

Odgrywam bieg w zwolnionym tempie, pokonując w ten sposób dzielący nas dystans, i praktycznie powalam go swoim uściskiem. Zazwyczaj kiedy rzucam się tak na niego, kaszle i się wykręca, urażony, bo przestrzeń osobista i tak dalej. Ale dzisiaj jest inaczej. I nie chodzi tylko o to, że nie mogę już zetknąć palców obu rąk, gdy go obejmuję.



Odwzajemnia mój uścisk, jakby wiedział, jak bardzo tego teraz potrzebuję. Przyciąga mnie tak blisko siebie, że moje stopy odrywają się od ziemi. Otula mnie jego znajomy zapach, taki sam jak zawsze: pranie wywieszzone na świeżo skoszonym podwórzu z nutką lęku egzystencjonalnego.

Dopiero kiedy odstawia mnie na ziemię, odchylam się, by porządnie przyjrzeć się jego twarzy. Coś się stało. Widać to po tym, jak opadają mu ramiona. Po zakrzywieniu jego brwi. Po napięciu w kącikach ust. Coś przede mną skrywa – coś wielkiego.





Zanim udaje mi się zadać pytanie, wypuszcza powietrze z policzków i mówi:

– Sophie ze mną zerwała.



Sięgnij
po więcej!



-  wydawnictwokobiece.pl
-  Wydawnictwo Young
-  wydawnictwoyoung
-  wydawnictwoyoung

 Young